



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Barbara Morawska

„Bajka” na wygnaniu

Było to dawno, dawno temu...

Od września 1939 minie wkrótce lat 60, więcej niż pół wieku. Tamten czas między wrześniem 1939 a styczniem 1945 z dzisiejszej perspektywy to bardzo krótki okres. Tyle wydarzyło się później w życiu ludzkości, społeczeństw, naszego narodu i moim własnym. Było to niespełna 6 lat. Mój najmłodszy wnuczek ma ich dziesięć i zdaje mi się, że niedawno, przedwczoraj, przyszedł na świat, a tamten krótki sześćioletni okres ciągle mimo upływu lat wydaje mi się najdłuższy w moim życiu. Po nim wszystko było już inne niż przed nim. Nic nie mogło być takie same, bo całe nasze życie zostało przewrócone do góry nogami. Zmieniło się wszystko wokół i w nas samych.

Miałam 6 lat, gdy to się zaczęło, a niecałe 12 zaraz po wojnie. Mając lat 14 po raz pierwszy próbowałam tamte wspomnienia opisać. Dziś sięgam po te, przecież jeszcze dziecinne, notatki, myśli i refleksje. Są tam różne szczegóły, których teraz już nie pamiętam, ale dziwi mnie, że nie zapisałam części przeżyć, które do dziś noszę w sobie. Może wtedy czternastoletniej dziewczynie nie wydawały się tak ważne. Pożółkły zeszyt przenosi mnie w tamte dni, więc zacytuję samą siebie. Czy samą siebie? Przecież po ponad pięćdziesięciu latach od tamtego pisania jestem już całkiem kimś innym, ale to, co było, tkwi w mej świadomości.

Oto cytaty, nie zmieniam nieudolności stylu.

„Któregoś sierpniowego dnia, wracając z mamą z podwórza, spotkałam ojca na ganku z jakimś papierem. Matka po przeczytaniu go, spojrziała na tatusia i spytała: «To już?» Ojciec tłumaczył, że to tylko ćwiczenia, a ja patrzyłam na niego nic nie rozumiejąc, lecz czując, że stało się coś złego. Potem dowiedziałam się, że ów papier to wezwanie na ćwiczenia wojskowe. Potem działo się wiele rzeczy, które w umyśle sześciolatniego dziecka poplątały się w jeden wielki zamęt, z którego wynurzają się po kolei to: kwatery wojska, którego bardzo się bałam. Pamiętam, że jak wpadli na podwórze, przerażona uciekłam pod opiekuńcze skrzydła babci, bo mama była zajęta przyjmowaniem żołnierzy. A potem była mobilizacja koni. Z tego faktu zapamiętałam tylko jakąś wystrojoną pannę, która twierdziła, że tatuś na pewno nie zdąży wpaść do nas przed wybuchem wojny. Zdążył jednak. Przyjechał na kilka dni i musiał chodzić stale w mundurze. (...) Bardzo upamiętnił mi się wyjazd tatusia na wojnę. Nie kładłyśmy się spać, tylko siedzieliśmy z ojcem w jadalni. Na stole stały resztki kolacji, jakieś papiery i w ogóle był straszny bałagan. Dotychczas czuję senność spowodowaną długim siedzeniem i widzę ojca niezupełnie ubranego, stojącego w drzwiach gabinetu. Na drugi dzień był ostateczny wyjazd. Przed domem stała bryczka, a tatuś już w płaszczu oficerskim, żegnał się z mamą. Ja usiadłam na bryczce i nie chciałam za nic puścić ojca samego. Mamusia tłumaczyła mi, że tatuś wróci, ale ja płakałam i nie wierzyłam.

Potem przyszedł pierwszy dzień wojny. Zapamiętałam z niego niejasne uczucie trwogi i mgłę – dookoła była mgła, w której, niby widma, poruszali się ludzie. (...)

Jeszcze ojciec przygotował schron, a mamusia wykończyła jego urządzenie: znoszono więc do piwnicy jedzenie, środki opatrunkowe, ubranie, ustawiano beczki z wodą i piachem, uszczelniano okna i zawieszano matą drzwi. We wszystkich pomieszczeniach mama kazała nasłać słomy pod ścianami, żeby było na czym siedzieć. Nie korzystałyśmy jednak ze schronu, bo wszyscy sąsiedzi uciekli, więc i my nie czekałyśmy na wroga, tylko pojechałyśmy do krewnych na drugą stronę Wisły – nikomu bowiem na myśl nie przyszło, aby Niemcy posunęli się dalej jak do Wisły. – A jednak... Dzień wyjazdu pamiętam doskonale. W domu panował niebywały bałagan. Na wszystkich meblach poukładane były części ubrania, na podłodze stały walizki i tobołki. Przyszli jacyś mężczyźni i rozmawiali z pokojówką – pamiętam, jak mnie dotknęło powiedzenie jednego z nich, że dzieci są szczęśliwe, bo nic nie rozumieją – ja przecież rozumiałam, aż nadto dobrze, co się wokół mnie dzieje. (...)

Mama zwlekała z wyjazdem. (...) Dopiero jak droga zadudniła pod ostatnimi uciekinierami i w pobliskich majątkach nie było nikogo, mamusia zarządziła odjazd. Teraz wiem, że jednak nie rozumiałam całej grozy wojny, bo mnie bawiła ta jazda po pustej szosie. Budka dróżnika, przy torze kolejowym, była pusta, a ledwo zdążyliśmy przejechać zadudnił za nami dziesiątkiem kół pociąg osobowy, jadący bez świateł w siną dal. Oto dowód, jak szybko opanowała wszystkich panika: pociągi kursowały, a dróżników nie było i cud boży, że nie zginęliśmy pod kołami pociągu. Popłoch zrobił na mnie piorunujące wrażenie – jeżeli nie rozumiałam, co to wojna, pojęłam, że jest to jakaś siła nieznaną, która każe przekopywać chodniki i ludziom pędzić przed siebie bez pamięci. Przerażeniem napełnił mnie most uginający się pod naporem tłumu. Nie umiem opisać widoku, bo go nie pamiętam, lecz dotychczas czuję strach i nie chcę, aby się ta chwila kiedykolwiek wróciła.

To jeszcze nie było rzeczą najgorszą, jaką widziałam i nie najgorsze było jechanie nocą zatłoczoną szosą, i nie najgorsze było krycie się w lesie pod bombami i nie najgorsze było wkroczenie Niemców do majątku krewnych, gdzie zatrzymaliśmy się – najgorszy był powrót: powrót wśród trupów. To było najgorsze i to będę pamiętać do śmierci. Zapomnę jazdę przez natłoczony most i lasy, zapomnę pobyt u wujostwa i już zapomniałam prawie wejście Niemców, ale nie zapomnę drogi powrotnej do domu i od tej chwili wszystko pamiętam wyraźnie, choć chciałabym zapomnieć, wolałabym nie pamiętać tych momentów, które zabiły we mnie najwcześniejsze wspomnienia dzieciństwa.

Powrót wśród trupów! Tak, po obu stronach drogi wśród lasów leżały ciała żołnierzy, naszych polskich żołnierzy, którzy polegli za wolność Ojczyzny. Wróg zabronił ich grzebać, aby zabić w nas ducha, ale to zrodziło w nas chęć zemsty i nienawiść, która z krwią spłynie w dzieci nasze...”

Na tym kończę cytaty – tak pisałam, mając lat czternaście. Dziś już nie myślę, aby należało naszym dzieciom przekazywać nienawiść i chęć zemsty i nie przekazywałam tego. Natomiast przekazałam pamięć o tym strasznym czasie i zrozumienie konieczności starań, aby to się nie powtórzyło. Nasze dzieci i wnuki – już dwa pokolenia, a zaczyna rodzić się trzecie – mają to wielkie szczęście, że w tym zakątku świata nie musiały przeżywać wojny. Moja matka musiała przeżyć trzy, a babcia cztery. To chyba jest jakiś sukces ludzi tu żyjących – aby tak dalej. Wróć jednak do wspomnień.

Dziwi mnie, że wtedy, w 1947, nie zapisałam jeszcze jednego ważnego epizodu z drogi powrotnej do domu. Może dlatego, że wszystko przyćmiło wspomnienie poboju stanowiącego fragment bitwy pod Kutnem. Ten drugi obraz wracał do mnie, gdy czytałam wiersz Broniewskiego „Żołnierz polski”: „Ze spuszczoną głową, powoli wraca! żołnierz z niemieckiej niewoli... bez broni, bez orła na czapce, bezdomny na ziemi matce”. Ci, których wtedy spotkaliśmy, szli do niewoli, nie byli bezdomni, bo już były dla nich przygotowane oflagi i stalagi. Szli całą szerokością szosy, konwojowani przez żandarmów na koniach. Długi, szary szereg miarowo szurający nogami. Naszą bryczkę Niemcy zepchnęli do rowu, żeby nie przeszkadzała. Jeden z jeńców podszedł do mojej matki, mówiąc: „Nie płacz, jeszcze Polska będzie”. Nadjechał natychmiast konny konwojent i popchnął go do szeregu.

Te dwa obrazy klęski naszej utkwiły w świadomości – martwi żołnierze i żołnierze upokorzeni niewolą. Tak niepodobni do dziarskich i kolorowych, zapamiętanych jeszcze z sierpnia.

Pod koniec października wrócił ojciec. Oddziały, w których służył, zostały zagarnięte przez Armię Czerwoną. Dostał się do niewoli i udało mu się uciec – dzięki czemu uniknął Katynia. Jednakże wkrótce po powrocie do domu – w listopadzie – został aresztowany przez Niemców. Powód był prosty i nawet oczywisty – był podporucznikiem Wojska Polskiego i brał udział w Kampanii Wrześniowej.

Żandarmi przyszli do domu podczas jego nieobecności: schroniłam się pod fotelem babci i przez szydelkowy szal, sięgający podłogi, widziałam buciory walące w stary parkiet, którego klepki poruszały się pod uderzeniami, a więc były podejrzane. Robili rewizję. Szukali ojca. Polecili, aby po powrocie zgłosił się do urzędu w Płocku – nie rozumiałam i nie zapamiętałam niemieckiej nazwy tego urzędu. Tatuś wrócił wkrótce po odejściu żandarmów. Wieczorem słyszałam rozmowę rodziców – mama prosiła ojca, aby uciekł przez „zieloną granicę” do Generalnej Guberni. Nie chciał tego zrobić, aby nie narażać nas na represję. Pamiętam, że rano następnego dnia jechał do Płocka z dwoma niemieckimi kolonistami z sąsiedniej wsi, którzy zaofiarowali się świadczyć, że jako młynarz jest potrzebny w oko-

licy. Nie wiem, czy sami przyszedli z tą ofertą, czy ojciec ich prosił – w co raczej wątpię. Skąd wiedzieli o „wizycie” żandarmów? Są zagadki, których dziś nie rozwiążę i nie ma sensu próbować. Jeszcze widzę ich roześmiane, rumiane twarze – sadowali się na bryczce, gdzie już siedział ojciec, i zapewniali matkę, że wszystko będzie dobrze. Wtedy widziałam ojca po raz ostatni w życiu. Wieczorem koloniści zawiadomili o aresztowaniu taty, ale znów zapewniali, że wszystko wyjaśni się i na pewno wróci lada dzień. Później przyszła wiadomość (nie wiem jak), że został wywieziony do obozu w Działdowie. Nie wiem, jakim cudem matka uzyskała zezwolenie na odwiedziny. Pamiętam, że pojechała i po powrocie opowiadała o tej okropnej podróży i smutnym spotkaniu. Była jednak dobrej myśli, bo niemiecki oficer, asystujący przy rozmowie rodziców, zapewnił, że już otrzymali pierwsze pismo z Berlina w sprawie zwolnienia ojca. Umówili się więc, że mama będzie czekać wiadomości, kiedy wysłać konie na dworzec kolejowy w Płocku. Po kilkunastu dniach otrzymaliśmy od ojca na urzędowym blankiecie z oflagu – nie pamiętam, czy był to już oflag II D w Gross Born (obecnie Borne Sulinowo), gdzie przebywał aż do stycznia 1945, do ewakuacji obozu.

Do głowy nam wtedy nie przyszło, że jeszcze zetkniemy się z Działdowem, ale to późniejsza historia. Na razie wrócę do cytowania mych notatek robionych w 1947, bo oddają dobrze warunki, w jakich żyliśmy po zabraniu ojca.

„Mama borykała się sama z prowadzeniem młyna i gospodarstwa prawie rok, a potem zajęto majątki i «Frau Talnant» została jako kasjerka w młynie.

Przez ten rok prawie nie odczuwałyśmy wojny, przynajmniej nie pamiętam żadnych tragicznych wypadków oprócz śmierci brata pokojówki spowodowanej przez piorun, ale to mogło wydarzyć się w najspokojniejszych czasach. (...) Było to nasze ostatnie lato w Zalesiu. We wrześniu panoszył się już na naszym miejscu obzarty Niemczur, a nas zepchnął do dwóch pokoi i łaskawie znosił. (...)

Przyszła pierwsza zima w zajęтым przez wroga Zalesiu, a z nią Boże Narodzenie. Pamiętam, że mamusia ubrała choinkę, a ja okryłam sobie głowę fartuszkim, bo chciałam koniecznie wierzyć, że w pokoju jest święty Mikołaj, który nie lubi, jak na niego patrzą dzieci i chciałam zobaczyć boże drzewko gotowe, a nie gołe, a na to nie pozwalała ciasnota w mieszkaniu. Okrywałam więc głowę fartuszkim, chcąc zachować tę resztę dziecinnej wiary w dobrego świętego staruszka i śliczne aniołki. Pod skromną choinką znalazłam farby i lalkę i coś jeszcze, ale nie pamiętam co, przypominam sobie, że mamusia kupiła ode mnie dla Rysi układanki z koralików i od nas trzech dla wychowawczyni – drogiej pani Ewy – album do fotografii. Wigilii nie pamiętam. Na drugi dzień, na zaproszenie Niemki, poszliśmy do drugiej połowy domu, gdzie mieszkali wtedy ówczesni właściciele Zalesia – Niemcy. Mieli oni dwoje dzieci. Dziewczynka była dość miła; chłopak miał charakter typowego Niemca: bał się silnych, znęcał się nad słabszymi. Pamiętam, kiedyś nagle usłyszałam płacz Małgosi. Pobiełam na podwórko i zobaczyłam Niemczaka «jadącego» okrakiem na mojej małej siostrze. Gdy mnie zobaczył, uciekł. Innym razem ciągnął za ogon nie mogącą bronić się kocięc.

Niemcy mieli piękną i wysoką choinkę ubraną od góry do dołu srebrnymi czubkami. Bardzo mi się podobała.

W czasie długich wieczorów zimowych mamusia czytała na głos babci «Trylogię» i «Krzyżaków». Nas zapędzano wcześniej spać, ale ja uchylałam drzwi do drugiego pokoju, bo chciałam słuchać.

(...) Już po Bożym Narodzeniu ze strachu słuchałam warkotu samochodów, wywozających szosą mieszkańców Płocka w nieznaną mi dal. Pamiętam, jak z wielką powagą klękałam przed domowym ołtarzykiem i z otrzymanej na pamiątkę komunii, książeczki – odmawiałam modlitwy w intencji tych, których wywozili. W domu mamusia kazała szykować plecaki i wreszcie przyszedł dzień wysiedlenia – 7 marca 1941.

Mżył deszczyk i hulał wiatr, na polach leżały resztki czerniałego śniegu. Wstałyśmy pierwszy dzień po ciężkiej grypie, a Małgosia jeszcze leżała. Siedziałam przy oknie i malowałam tulipany nowymi farbami. Drogą za parkiem przejechał wóz z sołtysem i żandarmami – jechali w stronę wsi. Mamusia wpadła z młyna i niespodziewanie kazała pani Ewie przyszywać szelki do plecaków, przygotowanych wcześniej: To Niemiec zarządzający majątkiem powiedział mamie, żeby prędko poszła do domu i ciepło ubrała dzieci. W pół godziny później wóz podjechał po nas. Wpadł rudy żandarm i krzychał, aby w pięć minut przygotować się. Mama wyciągała chorą Małgosię z łóżka, ze zdenerwowaniem ubierała się, ja wciągałam bez sensu jedno palto na drugie i krzychałam na Rysię, bo miała łzy w oczach. Polska duma nie pozwoliła, aby Niemiec widział nasz ból.

Powieziono nas do gminy, a stamtąd do Bielska. Noc spędziliśmy w kościele. Nigdy tej nocy nie zapomnę! Głosy rozbijały się o wysokie sklepienie. Dotąd słyszę pijackie krzyki Niemców i jakiegoś epileptyka. Było to w wielkim poście, więc przy ołtarzu leżał na poduszce krzyż. Podeszliśmy pomodlić się, ale żandarm odpędził nas kolbą. Rano znów deszcz. Byłyśmy śpiące i zmarznięte, a kawa, którą przyniosły miejscowe kobiety, doszła do naszych rąk prawie zimna, więc nie rozgrzała nas. Załadowano wszystkich na ciężarowe, odkryte samochody i pojechaliśmy do Działdowa”.

Pobył w obozie opisałam bardzo pobieżnie, więc nie będę tego cytować, a posłużę się pamięcią – były to przeżycia, których nie zapomina się. Zastanawiam się, dlaczego pisząc wspomnienia 50 lat

temu, tak niewiele uwagi poświęcałam tej sprawie. Może jeszcze nie mogłam wracać do tego nawet w myślach – dystans czasu był zbyt mały. Na marginesie zacytowanych już wspomnień nie mogę oprzeć się refleksji, że wtedy, gdy to pisałam, wiele sformułowań dyktował mi żal i świeża nienawiść. Dziś został żal za zniszczonym dzieciństwem, ale już nie ma nienawiści. Przez bardzo wiele lat, do niedawna, tkwił w mej podświadomości lęk – gdy usłyszałam blisko mowę niemiecką, robiło mi się słabo, miałam uczucie zeszytywnienia. Trzeba było długiego czasu i wielu przemyśleń, aby ten objaw ustąpił. Wróć jednak do wspomnień działowskich, które miały swój wielki udział w tej niemal fizjologicznej, reakcji.

Nie wiem, kiedy zorientowałyśmy się, że jedziemy do Działdowa. Pamiętam jakieś liczne schody, po których szłam z trudem, starając się nie zgubić matki uginającej się pod olbrzymim plecakiem, niosącej małą siostrzyczkę i podtrzymującej babcie, która niedowidziała i potykała się o stopnie. Potem była olbrzymia sala, szereg stołów, za którymi siedzieli obozowi urzędnicy.

Pamiętam, że oddzielano mężczyzn i dorastających chłopców kilkunastoletnich. Płacz, rozpacz matek, żon, dzieci. Nas ten ból ominął, bo ojca już nie było z nami. Zapisywano nas w jakichś rejestrach, sprawdzając przed tym personalia. Niemiec wypytyujący matkę stwierdził, że może podpisać volkslistę, bo nazwisko jest niemieckie – Talnant. Wtedy usłyszałam po raz pierwszy, że to żmudzkie nazwisko.

Ulokowano nas w dużych izbach, w bardzo licznych grupach. Na podłodze była słoma zmielona prawie na pył przez wcześniejsze transporty. Wkrótce okazało się, że pełno w niej insektów. Było to moje pierwsze spotkanie z wszami.

Przed nocą byliśmy zamykani na klucz z zapowiedzią, iż sprawdzą rano, czy nie zanieczysciliśmy sali, załatwiając w niej fizjologiczne potrzeby. Każdego ranka z drżeniem słuchałam zgrzytu klucza, z lękiem patrzyłam na dozorców (nie pamiętam, czy to byli żandarmi, mieli jakieś mundury i te okropne buty na wysokości oczu 7-letniego dziecka), sprawdzających porządek. Zapamiętałam, że któregoś dnia jeden z nich miał zakrwawioną nahajkę – widocznie już w jakiejś sali wymierzał sprawiedliwość. Jednego dnia babcia załatwiła się do jakiegoś papieru, zawinęła pięknie i chciała wyrzucić przez okno. Dobrze, że ktoś to zauważył i powstrzymał ją – pakunek byłby wylądował na głowie wartownika. Mama schowała zawiniątko do paleniska w piecu, w którym oczywiście nie palono – sale nie były ogrzewane, mimo przejmującego chłodu. Do dziś pamiętam strach, żeby tego nie znaleźli.

W dzień chodziło się do latryny, której też bałam się okropnie. Były to głębokie rowy, a nad nimi żerdzie, aby na nich przysiąść i oprzeć się. Nad rowami z drugiej strony stali mężczyźni (mówiono, że to Żydzi), aby na bieżąco wszystko zasypywać wapnem. Porządku pilnowali dozorczy, przechadzający się wzdłuż tych rowów. Kiedyś do kloaki wpadła jedna z zakonnicek – była ich w obozie duża grupa wywieziona z Płocka z klasztoru pod wezwaniem Anioła Stróża. Ledwo ją wyciągnięto w szatach zakonnych ociekających fekaliami. Nie wiem, czy przeżyła tę kąpiel. Pamiętam tylko gromki śmiech dozorców, dla których była to świetna zabawa. Bałam się tego miejsca bardzo i unikałam chodzenia tam, że w rezultacie rozchorowałam się na zapalenie nerek i dróg moczowych. Miałam bardzo spuchnięte nogi i z trudem chodziłam w jakichś mamusi butach, wyciągniętych z plecaka. Udręką były noce, nie tylko z powodu zamknięcia. Obowiązkowo paliło się światło i niczym nieosłonięta żarówka raziła w oczy. Na korytarzu hałasowali dozorczy – dokuczali Jasiowi i śmieli się z tego głośno. Jasio (nie wiem, czy to było prawdziwe imię) był niedorozwiniętym oraz epileptykiem. Nie chciano go na żadnej sali z obawy, że w nocy się zanieczysci, a wszyscy będą za to odpowiadać. Spał więc na korytarzu, krzyczał przeraźliwie, a Niemcy śmiali się z niego.

W czasie gdy byliśmy w obozie, przywieziono też arcybiskupa Antoniego Juliana Nowowiejskiego, biskupa płockiego, z grupą towarzyszących mu księży i zakonnicek.

Już w roku 1947 czytałam broszurę napisaną przez ks. dr Wacława Jezuska – „Męczeński koniec arcybiskupa A. J. Nowowiejskiego, biskupa płockiego 1858-1941”. Dane z mojej pamięci są nieco inne, niż z pewnością bardziej wiarygodna relacja W Jezuska.

Pamiętam, że bardzo już starym biskupowi kazano biegać po dziedzińcu, a nam na to patrzeć. W Jezusek pisze, iż A. J. Nowowiejski miał na ramionach futro. W mojej pamięci został w stroju liturgicznym, zachlapanym błotem, ale może to zniekształcenie ubarwione późniejszą wyobraźnią. Jeszcze w czasie naszego pobytu w obozie, a więc koło 15 marca, rozeszła się wiadomość, że arcybiskup zmarł, ale widocznie była nieprawdziwa, bo ks. Jezusek podaje datę późniejszą, której też nie jest pewien, bo brak dokładnych dokumentów. W każdym razie nie stało się to w marcu 1941 – możliwe, że plotka była celowo puszczona, aby przygnębić więźniów szanujących zasłużonego dla diecezji płockiej duchownego.

Z obozu wywieziono nas 17 lub 18 marca 1941. Pamiętam mnóstwo szyn torów kolejowych, przez które pędzono nas do wagonów. Przewracałam się na moich spuchniętych nogach obutych w musinie pantofle. Ktoś mnie niósł, jakiś mężczyzna nieznamy, ale kto, skoro mężczyzn oddzielono od nas pierwszego dnia.

Zaplombowanymi wagonami, bez jedzenia i picia, przywieziono nas do Piotrkowa Trybunalskiego w Generalnej Guberni. Tam odstąpili żandarmi i przejęli nad nami opiekę ludzie z PCK – mieli na

rękawach białe opaski z czerwonym krzyżem. Mogło to służyć do propagandowych zdjęć – w jak humanitarny sposób jest przesiedlana ludność polska z terenów włączonych do Rzeszy.

Tu znów posłużę się wspomnieniami pisanymi w dzieciństwie.

„Rajem wydały się nam duże, jasne sale zastawione piętrowymi pryzkami, łabędzim puchem czysta słoma przykryta białym płótnem, niebiańską mianą kapuśniak z niekraszonymi kartoflami, niezwykłą przyjemnością kąpiel w ciepłej wodzie.

Na drugi czy trzeci dzień wyjechaliśmy, już otwartymi wagonami, do cioci Leny do Warszawy. Pamiętam szum i hałas na dworcu, a potem jazdę dorożką przez ruchliwe ulice stolicy. Przypominam sobie, że dorożkarz dowiedziawszy się, iż jesteśmy wysiedlone z Płocka, nie chciał przyjąć pieniędzy za odwiezienie. (...) Ciocia na nasz widok, śmiała się i płakała. Zaraz wykapałyśmy się i w szlafrokach siadłyśmy do kolacji. Pamiętam: były wspaniałe kluski z sosem pomidorowym, w którym pływały plasterki kielbasy. Zdawało nam się, że narodziłyśmy się na nowo. (...) W Warszawie byliśmy jakiś czas i pojechaliśmy do Komorowa do dziadków Talnantów, gdzie czekała na nas Rysia, która pojechała tam w kilka dni po przyjeździe do wujostwa, pod opieką wychowawczyni – pani Ewy. Myśmy musiały zostać w Warszawie dłużej ze względu na Małgosi i moje zdrowie. Małgonia przyjechała z Działdowa w trzecim stadium zapalenia płuc, a ja silnie zareagowałam na zastrzyk przeciw durowi brzuszemu. W Komorowie, na stacji kolejki EKD, spotkał nas dziadek (ojciec tatusia) i zaprowadził do przygotowanego dla nas mieszkania. Był to niewielki pokój, dość ładnie urządzone. W szafce pod oknem znalazłyśmy masę zabawek zebranych przez różne miłosierne ciotki i znajome. Zdziwiłam się bardzo zobaczywszy piec, w którym zamiast drzewem czy węglem paliło się trocinami”.

Odkładałam moje starodawne notatki, ponieważ znajduję w nich opisy mało istotnych zdarzeń z życia w Komorowie, naszych zabaw i przygód, zbyt szczegółowe, aby je tu zamieszczać. Jednakże przy ich pomocy przypominam sobie też sprawy ważne, charakterystyczne dla naszego okupacyjnego bytowania.

Babcia, mamusi matka, która przeszła z nami wysiedleńczy szlak, została w Warszawie, u swej starszej córki – naszej cioci Leny. My znalazłyśmy się pod opieką rodziców ojca.

Pani Ewa, nasza bona która przeżyła z nami wszystkie bóle obozowe, nie zatrzymała się z nami długo w Komorowie. Wkrótce przez „zieloną granicę” przekradła się z powrotem do Płocka, gdzie miała wielu przyjaciół. Była wyjątkowo cudownym człowiekiem i bardzo piękną kobietą. Któregoś jesiennego wieczora, tuż przed godziną policyjną, ktoś zastukał do naszych drzwi i mama, z lękiem otwierając, zobaczyła elegancką panią w karakułowym futrze. Gdy ta weszła, ze zdziwieniem rozpoznaliśmy panią Ewę. Narażając życie ponownie przeszła granicę, aby na sobie przenieść futro naszej mamy. Wiedziała, gdzie zostało oddane na przechowanie wraz z kosztownymi drobiazgami. Wszystko przytaszczyła do Komorowa. Zatrzymała się krótko i znów poszła do Płocka. Udało jej się, spotkałyśmy się w Płocku po wojnie.

Rzeczy przyniesione przez panią Ewę przydały się, bo mama spieniężała je stopniowo, poczynając od futra. Zdawała sobie sprawę z tego, że jesteśmy ciężarem dla dziadków, których dochody były bardzo ograniczone w związku z okupacją. Dziadek przed wojną był wieloletnim sołtysiem w Komorowie, ale przede wszystkim weterynarzem. Stanowisko sołtysa przekazano komuś bardziej odpowiadającemu wymaganiom nowej władzy. Nie wiem, dlaczego miał również zakaz wykonywania swego zawodu. Przyjeżdżali do niego gospodarze z pobliskich wiosek, potrzebujący pomocy dla swego zwierzęcia, czasem ktoś przychodził z psem lub kotem. Jednakże te dochody były niesystematyczne. Babcia zaczęła udzielać lekcji gry na fortepianie – miała sporo uczennic i uczniów.

Na domiar złego dziadek zaczął poważnie niedomagać na serce.

Babcia zorganizowała możliwość zarobkowania mojej mamie. Komorów słynął z pięknych ogrodów pełnych kwiatów. Babcia porozumiała się z różnymi swymi znajomymi, od których mamusia brała kwiaty w komis i dostarczała do warszawskich kwiaciarni. Była to ciężka praca dla osoby nienawykłej do fizycznego wysiłku. Lubiałam chodzić z mamą do ogrodów, przeważnie wieczorem. Przynosiłyśmy naręcza kwiatów, które mamusia w piwnicy segregowała, zabezpieczała przed zwiędnięciem, a raniutko z wielkimi pakami pachnącego towaru jechała kolejką do Warszawy. Nieraz wracała bardzo późno – byłam wtedy niespokojna, obawiałam się, czy nie dostała się gdzieś w łapankę.

W Komorowie rzadko widywało się Niemców, ale zawsze bałam się ich będąc w Warszawie. Kiedyś jadąc tramwajem z mamą i siostrami, cudem uniknęłyśmy łapanki. Ktoś wskoczył do wagonu i krzyknął „łapanka”. Motorniczy zwolnił i pasażerowie wyskakiwali prawie w biegu. Mama z młodszymi dziewczynkami już była na ulicy, a ja panicznie bałam się skoczyć. Wreszcie zdobyłam się na to. Już nie pamiętam, co zrobiłyśmy dalej i jak wróciłyśmy do cioci.

Drugą przerażającą sytuacją związaną z wyjazdem była rewizja w kolejce. Wracałyśmy z Warszawy do Komorowa. Na którejś stacji weszli żandarmi i granatowi policjanci – poszukiwali szmuglerów. Zatrzymali jakieś dwie kobiety z konwiami po mleku sprzedanym w Warszawie. Wysiedli z nimi na komorowskiej stacji. Nie wiem, co się z nimi stało, ale szybko idąc w kierunku naszego domu, długo słyszałyśmy ich płacz i lament. Coraz bardziej bałam się jeździć i lękałam się o matkę, gdy dłużej nie wracała. Prawie cały czas okupacji towarzyszyło mi uczucie strachu i niepokoju.

W Komorowie zaczęłam naukę na tajnym komplecie. Już umiałam czytać i pisać oraz znałam podstawy rachunków, więc zostałam przyjęta do kl. II. Chodziła nas na te zajęcia dość liczna grupa. Zawsze jeden z uczniów był „na warcie”, aby nas uprzedzić w razie niebezpieczeństwa. Wtedy młodszy syn naszej nauczycielki miał kłaść się do łóżka, a my ukryć książki w przygotowanym schowku. Mieliśmy tłumaczyć się, że przyszliśmy bawić się z chorym chłopcem. W okresie przed Bożym Narodzeniem były przygotowane pudła z materiałem do robienia ozdób choinkowych, a nasze przyjscie mieliśmy usprawiedliwić wspólnym robieniem tych zabawek. Na szczęście nie mieliśmy okazji sprawdzić skuteczności tych zabezpieczeń. Raz tylko pamiętam alarm, ale niepotrzebny: do nauczycielki przyszedł w jakiejś sprawie gajowy, a chłopiec, widząc przy furtce wysokie buty i mundurowe spodnie, zaalarmował nas.

Kiedyś, idąc na lekcje, zobaczyłam na ulicy żandarma z policjantem. Miałam jeszcze blisko do domu, więc wróciłam i schowałam się w komórce na węgiel. Okazało się, że „strach ma wielkie oczy” – żandarm i policjant nie interesowali się małą dziewczynką, był jakiś inny cel przybycia na naszą ulicę.

Jednakże było też realne zagrożenie. Do naszej pani przyszedł nauczyciel z „urzędowej” szkoły będącej pod nadzorem Niemców, do której powinniśmy chodzić. Poinformował, że wie o odbywających się nielegalnych lekcjach i poradził, aby z nich zrezygnować, bo będzie musiał zawiadomić władzę. W tej sytuacji zajęcia już nie mogły odbywać się, jak dotychczas, w mieszkaniu nauczycielki. Były w coraz to innym domu, w różnych porach, a zeszyty i książki nosiliśmy w niezwracających uwagi koszykach, torbach, często z różnymi rzeczami maskującymi rzeczywistą zawartość.

Była też tajna biblioteka. W jednej z willi właścicielka wypożyczała zaufanym osobom książki pochodzące prawdopodobnie z jej księgozbioru.

Zarobki mamy i pomoc dziadków nie wystarczały na domowe potrzeby. Babcia z mamusią zdecydowały, że będziemy korzystać z obiadów, a właściwie zup, wydawanych przez Komitet Opieki nad przesiedleńcami. Ta garkuchnia znajdowała się dość daleko od naszego domu i mnie przypadło w udziale chodzić z bańką po te zupki. Nie wiedziałam, że dziadek nie był poinformowany o tej sprawie i kiedyś wygadałam się. Pamiętam jego wielkie oburzenie skierowane do babci i mamy, że dopuściły się takiego upokorzenia, aby korzystać z darmowej kuchni. Niestety dziadek był już zbyt chory, aby zarobić na lepsze warunki życia. Babcia w tajemnicy nadal kazała mi chodzić po te niby-obiady. Bardzo one były marne, ale jednak potrzebne.

Mama starała się przyrządzać różne potrawy z produktów kupowanych na kartki. Nigdy nie miała talentów kulinarnych ani wprawy w kuchennych zajęciach. Jednakże pamiętam jakieś placki z jabłkami z owsianej mąki i naleśniki z kartkową marmoladą. Na kartki były też jakieś dziwne cukierki o nieokreślonym smaku, trochę podobne do landrynek. Jednakże najbardziej pamiętam twarde, ciemny, gliniasty chleb. Mama kroїła misterne, cieniutkie kromeczki, smarowała wodną margaryną oraz marmoladą i układając warstwami jedną na drugiej, robiła „tortowe, ciastka” – smakowały!

Cukier kartkowy przeważnie kończył się dużo szybciej, niż była szansa na następny. Mama ułożyła wierszyk, który powtarzała zawsze przy ostatniej łyżeczce tej słodczy – „koniec cukru wśród gorzkich lez, będziemy żyć bez cukru, jak pan pies”.

Ojciec z oflagu przysyłał regularnie listy, na które odpisywałyśmy na specjalnych blankietach.

Kiedyś spotkała nas wielka radość – paczka, a w niej olejny portret taty w mundurze, malowany przez obozowego kolegę. Mama powiesiła ten portret, bez ram, na ścianie. Małgosia przyniosła wszystkie swoje zabawki oraz skarby i złożyła na podłodze, aby pokazać je tatusiowi. Nie wiem, czy mogła pamiętać ojca – kiedy go aresztowali miała niewiele ponad rok, a portret otrzymaliśmy po 2 lub 3 latach. Pewnie po prostu dlatego tak się zachowała, bo mama powiedziała, że to tatuś.

Ja bardzo tęskniłam za ojcem. Jako najstarsza najlepiej i najdłużej go pamiętam. Często płakałam z tego powodu, przeważnie w poduszkę, przed zaśnięciem. Pytana przez matkę o powód płaczu wymawiałam się jakąś dolegliwością.

Tak minęły 2 lata. Wiosną 1943 mama otrzymała od swej krewnej propozycję, aby przyjechała z nami do jej majątku niedaleko Opoczna i tam doczekała końca wojny i oczywiście powrotu naszego taty. Nie wyobrażałyśmy sobie końca wojny bez tego powrotu. Mamusia miała objąć w tym majątku obowiązki nadzoru nad ogrodami. Ogrodnik, który tam był, został aresztowany przez Niemców.

Z tym aresztowaniem była historia dość charakterystyczna dla okupacyjnych warunków. Gestapo przyszło po zięcia dziedzica, a przez omyłkę zabrali ogrodnika kierującego pracami przy inspektach. Gdy zorientowali się w omyłce, oczywiście nie wypuścili aresztowanego, ale przyjechali po tego naszego kuzyna. Jednakże on domyśliwszy się, po kogo rzeczywiście było gestapo, ukrył się. Wobec tego zabrano jego żonę. Ogrodnik i córka krewnej naszej mamy nie przeżyli. Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach zginęli – pierwotna wersja była, że w Oświęcimiu.

Mama przyjęła ofertę i pojechaliśmy. Ciotka, u której miałyśmy zamieszkać, przyjechała do Warszawy, aby przez różne osoby, oczywiście za duże łapówki, starać się o uwolnienie córki. Wracając do swego majątku, miała nas zabrać.

Znów Dworzec Główny w Warszawie. Odprowadza nas mąż cioci Leny – wuj Jerzy. Ciotka okazała się osobą bardzo tęgą i bardzo energiczną.

Nie przypominam sobie na dworcu żadnych sytuacji uświadamiających okupację. Może za bardzo byłam przejęta podróżą i zafascynowana nową kuzynką, do której mama zwracała się z wielkim szacunkiem, a nawet uniżonością. W przedziale kolejowym natomiast dawał się odczuć nastrój niepokoju. Współpasażerowie obawiali się łapanek, z lękiem mówili o stacji w Radomiu, gdzie podobno często żandarmi wpadali do wagonów i zabierali ludzi według swego uznania. Z drżeniem słuchałam tych opowieści i kiedy konduktor na korytarzu oznajmił: „Radom”, skurczyłam się w sobie. Pociąg zatrzymał się, a ja bałam się potwornie i modliłam się cicho, aby ruszył jak najprędzej. Za oknem wagonu rzeczywiście widziałam dużą ilość żandarmskich hełmów. Nie miałam odwagi wyrzeć na peron, więc nie mogłam zobaczyć całych postaci. Wreszcie pociąg ruszył i ciotka, cały czas robiąca wrażenie całkiem spokojnej, powiedziała z ulgą: „Bogu dzięki, jedziemy!”.

W Prymusowej Woli, tak nazywał się ten majątek, otoczył nas wielki spokój. Na co dzień nie czuło się tu wojny i okupacji. Dostałyśmy pokój w oficynie, a na posiłki chodziłyśmy do dworu. Kiedy Małgosia zobaczyła długi stół w jadalni zastawiony do śniadania różnymi smakołykami, jak prawdziwa, owocowa marmolada, ser biały, masło, jajka, domowe bułeczki i wiejski chleb, patrzyła zafascynowana i orzekła: „Jakie tu ładne jedzenie”. Wołana na podwieczorek, pytała, czyje są imieniny. Miała niewiele ponad cztery latka i nie pamiętała normalnego jedzenia.

Podjęłyśmy naukę. Rysię i córeczkę ogrodnika (tego aresztowanego) Krysę uczyła moja mama, chyba na poziomie ki. I. Ja uczyłam się wraz z Niusią, wnuczką pani dziedziczki, tj. ciotki – lekcji udzielała nam guwernantka, pani Oleńka, na którą mówiłyśmy „Pańcia”. Niusia była poważnie chora na nerki, przeważnie leżała i lekcje odbywały się przy jej łóżku.

O tym, że jest wojna, przypominali nam żandarmi, którzy coraz to po coś przybywali do majątku. Czasem były to zakupy, a może rekwirowanie. Nie wiem. Jednego razu przyjechało ich kilku po warzywa i owoce. Mama była zajęta wydawaniem żądanych produktów, a ja kręciłam się koło niej w obawie, że uzbrojeni Niemcy mogą zrobić jej jakąś krzywdę albo zabrać, jak tego ogrodnika. W pewnym momencie zaalarmował nas płaczliwy, ale donośny głos Małgosi: „Mnie nie wolno zabijać!”. Przerazone spojrzaliśmy w tym kierunku. Moja maleńka siostra stała na grządce buraków czerwona i ze łzami w oczach, a koło niej uśmiechnięty żandarm coś gadał. Dziecko uważało, że taki człowiek w mundurze może tylko zabijać i nie rozumiało jego całkiem pocziwego uśmiechu. Może gdzieś w Niemczech zostawił swoją córeczkę.

Przypominam sobie kilka przyjaznych gestów tych przerażających ludzi. Jeden jeszcze w Zalesiu, kiedy część naszego domu zajęło na kwaterę wojsko, jakoś wymknęło mi się to zdarzenie, gdy opisywałam okres przed wysiedleniem. Oczywiście bałam się tych obcych żołnierzy, uprawiających hałaśliwe marsze. Weszłam kiedyś do kuchni i zobaczyłam jednego z tych ludzi siedzącego przy stole nad rozpakowaną paczką i płaczącego. Spojrzał na mnie przez łzy i wyciągnął rękę z pierniczkiem domowego wypieku, uśmiechem zachęcał, abym wzięła. Oczywiście dumnie odmówiłam. Coś niezrozumiale szwargotał, ale w tym było słowo „mutter”. Później babcia mi tłumaczyła, że pewnie tę paczkę dostał z domu, od matki. Długo to pamiętałam, bo nie mogłam jakoś wyobrazić sobie, że ci przerażający mnie ludzie mają domy, matki... Drugie warte odnotowania wrażenie było podczas naszej podróży z Działdowa do Piotrkowa. Pociąg zatrzymał się na Dworcu Głównym w Warszawie – perony były kompletnie puste, przechadzali się żandarmi z karabinami przewieszonymi na brzuchach. Nie wiem, jakim cudem, ktoś otworzył drzwi przedziału, żeby wpuścić trochę powietrza. Peronem przebiegał chłopak sprzedający dropsy. Pewnie nie zorientował się, co to za pociąg, i podbiegł do tych otwartych drzwi, oferując swój towar. Mama powiedziała, że nie ma pieniędzy, a właśnie podszedł żandarm, żeby chłopca przepędzić. Jednakże wziął tutkę dropsów, jakiś pieniąż podał chłopakowi, a do nas wyciągnął dłoń z cukierkami. Oczywiście odmówiłyśmy, a on uśmiechnął się smutno i łamaną polszczyzną tłumaczył mamie, że też ma dzieci. Wzięła dropsy. Drzwi wagonu zostały zamknięte i pociąg ruszył. Już nie pamiętam, czy jadłyśmy te cukierki i jak smakowały, ale to mniej ważne.

Znamienne jest to, że takich zdarzeń nie spisałam przed laty w moich wspomnieniach. Może jeszcze zbyt silny był mój żal, a nawet nienawiść budząca szowinistyczne uczucia. Dziś już stać mnie na stonowanie tego. Wtedy byłam bardzo młoda i moje oceny były skrajne.

Wróć jednak do Prymusowej Woli.

Były jeszcze inne zdarzenia przypominające o wojnie.

Pewnego razu, gdy po kolacji i wieczornej modlitwie wszyscy rozchodzili się z jadalni do swych pokoi, gwałtownie wszedł młody uzbrojony mężczyzna i nie pozwolił wychodzić. Zażądał od dziedzica kluczy od bramy wjazdowej z sadu na boczną, leśną drogę. Okazało się, że to oddział partyzancki z głównej szosy chciał się tam przedostać przez dworskie sady.

Później partyzanci przechodzili dość często, głęboką nocą. Z okna naszego pokoju w oficynie widziałyśmy światło w dworskiej jadalni, słychać było fortepian, na którym grała siostra dziedziczki, i legionowe piosenki oraz nowe, nieznanne nam, partyzanckie. Dziedziczka szła do chlewni wybierać wieprzka.

Byli to prawdopodobnie żołnierze AK, ale przychodzili też inni, o których mówiło się „bandyci”. Tych nie przyjmowano poczęstunkiem i fortepianowym koncertem. Sami wybierali sobie wieprzka, a od dziedzica żądali gotówki. Dziś sądzę, że nie byli to zwykli bandyci. Nikomu nie czynili krzywdy i właściwie nie rabowali. Najprawdopodobniej byli to też partyzanci, może z BCh lub AL. W każdym razie bałam się ich – kazali kłaść się na podłozie i nie wstawać, aż sobie pójdą.

W majątku było sporo młodych ludzi nazywanych praktykantami: praktykant rolnik, zootechnik, leśnik, ogrodnik. Najbardziej zapamiętałam dwoje z nich: Ilkę – młodą dziewczynę, która pracowała z moją mamą w ogrodach, mówiono na nią Ilka-partyzantka, oraz Czesława – rolnika, ten wbił mi się w pamięć ze względu na imię takie jak mego ojca. Ludzie ci coraz to, jednocześnie lub w różnych okresach, znikali i znów wracali. W lipcu 1944 zniknęli wszyscy – mówiono, że poszli do lasu. Dopiero teraz kojarzę to z akcją „Burza”.

Chyba w 1943 przybyli do majątku nasi podopieczni: rodzina składająca się z młodej matki i trojga młodszych od nas dzieci (najmłodsze jeszcze nie chodziło) oraz ich niani. Uciekli oni gdzieś z Wołynia – mieli tam duży majątek, ojciec ich został zamordowany. Wtedy nie potrafiłam zrozumieć przez kogo, bo nawykliśmy, że mordercami są tylko Niemcy. Teraz już wiem, że przez ukraińskich nacjonalistów.

Również w tym czasie i chyba też ze wschodnich kresów przyjechała pani Maria Stempowska z wnuczką Jacusią. Zamieszkali w oficynie w jednym pokoju z nami, bo już nie było wolnych miejsc. Rodzice Jacusia też gdzieś zginęli w wojennej zawierusze, ale nie pamiętam, a może nie wiedziałam, w jakich okolicznościach.

Tak to w wiejskim zaciszu wojna ciągle przypominała o swych okrucieństwach.

Przypominam sobie, tylko nie mogę ustalić roku – 1943-1944, akademię urządzoną na 3 Maja. Pani Oleńka i moja mama przygotowały z nami okolicznościowe wiersze i piosenki. Chyba najstarsza wnuczka dziedziczki – Jola – miała historyczny referacik. Moja mama zrobiła w pokoju bawialnym we dworze małą dekorację – nie pamiętam całości, ale wiem, że kulminacyjnym elementem był biały orzeł na amarantowym tle. Wieczorem zasłonięto okna bawialni, a ktoś na zewnątrz czuwał, czy nie zbliżają się nieproszeni goście. Nie pamiętam szczegółów tej uroczystości, jedynie bardzo podniosły nastrój i jakieś dziwne wzruszenie, uczucie dumy, że w tym uczestniczę.

Szczególnie bogatym w wydarzenia był rok 1944. Coraz częściej mówiło się przy nas o sytuacji wojennej. Usłyszałam wtedy po raz pierwszy słowo „bolszewicy”. Nie bardzo je rozumiałam, ale z kontekstów rozmów dorosłych domyślałam się, że to jakieś niebezpieczeństwo.

Któregoś letniego dnia żołnierze niemieccy przypędzili do Prymusowej Woli olbrzymie stado bydła. Zarówno krowy, jak i ich poganiacze byli bardzo zmęczeni, wynędzniali – widocznie szli z daleka. W nocy słychać było żalodne porykiwanie zwierząt. Wkrótce po tym zjawili się ludzie – niemieccy uciekinierzy przed armią radziecką. Na wozach i brykach dzieci, kobiety i przeróżny dobytek. Też byli wynędzniali, wystraszeni.

Przyznam że wstydem, że bardziej współczułam krowom zmordowanym wędrownką niż tym ludziom. Miałam nawet niejasne poczucie zadowolenia – to za naszą udrękę. Właściwie to jeszcze dziś nie współczuję tak zwanym wypędzonym i powiem dziecinnie: „A kto zaczął?”. Te wędrownki zwierząt i ludzi przyjmowaliśmy jako sygnał, że słabnie niemiecka potęga i zbliża się jej koniec.

Lato i wczesna jesień 1944 to Węgrzy na kwaterze we wsi. Dworu nie zajęli, ale część oficyny i jeszcze jakieś pomieszczenia, a które dokładnie, nie wiem. Byli przyjacielscy, pięknie grali i śpiewali. Panie we dworze były zachwycone oficerami, którzy rozmawiali z nimi po francusku i zachowywali się z galanterią. Nie byli elegancy wobec swych żołnierzy – widziałam, jak bili i kopali, nie rozumiejąc mowy, nie wiedziałam za co. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że idą na oblężenie partyzantów. Partyzantka w okolicznych lasach była liczna i ogarnęło nas przerażenie. Patrzyłam, jak węgierscy żołnierze odchodzili w pełnym uzbrojeniu, maszerując ósemkami całą szerokością szosy. Już nie wiem, komu jeden z oficerów podobno powiedział, żebyśmy się nie martwili. Później słyszałam, że partyzanci mieli informację, którą mogą wycofać się z „kotła”. Dziś nie wiem, ile jest prawdy w tych podsłuchanych i zapamiętanych wersjach. Jedno jest pewne, że Węgrzy nie byli naszymi wrogami. Kiedy mieli już odchodzić, wszyscy martwili się, tym bardziej że mogli przyjść na kwaterę Niemcy. Wiem na pewno, że dowódca tych kwatrujących Węgrów nie dopuścił do łapanek w wsi – miano brać ludzi do kopania okopów i na roboty do Niemiec.

Pamiętam ostatni wieczór pobytu Węgrów w Prymusowej Woli. Podczas kolacji przyszli do dworskiej jadalni oficerowie i przekazali dziedziczce zaproszenie dla wszystkich na pożegnalne spotkanie, które urządzili w parku na boisku do gry w siatkówkę. Prócz nas przyszło też sporo mieszkańców wsi. Trudno dziś odtworzyć wszystkie szczegóły. Były śpiewy i muzyka, nawet skecze w języku słowacko-polskim – jakaś przedziwna mieszanina, po której konferansjer stwierdził – „Jesyk kaput”. Częstowano szaszłykami pieczonymi na ognisku. Ognisko było ogromne – ogień i dym sięgały powyżej parkowych drzew.

Następnego dnia nawet przyjeżdżali sąsiedzi, bo rozeszła się wieść, że Niemcy spalili dwór w Prymusowej Woli. Najpiękniejsze, niezapomniane było zakończenie imprezy. Żołnierze utworzyli ze siebie

piramidę i najwyżej stojący rozwinął transparent z napisem: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Zaintonowali pieśń „Boże, coś Polskę”, którą śpiewaliśmy wszyscy.

Od Węgrów dowiedzieliśmy się o powstaniu warszawskim. Któryś z oficerów opowiadał, że był w pobliżu stolicy i widział nad nią kłęby dymów – dziwnie zapamiętałam to określenie powtarzane koło mnie już po polsku. Mama była przerażona – przecież w Warszawie była babcia i ciocia Lena z rodziną, cała masa krewnych i przyjaciół. Z lękiem i bólem nadśluchiwałam wieści stamtąd.

Ciekawe, że wśród tych wszystkich wydarzeń zupełnie nie przypominam sobie, aby docierały do mnie informacje o wyzwoleniu już części Polski, o naszym wojsku bijącym Niemców. Niejasno pamiętam przygnębienie dorosłych, gdy dotarła wiadomość o katastrofie gibraltarskiej i śmierci generała Sikorskiego. To nazwisko i nazwę Gibraltaru zapamiętałam z tamtego czasu. Później słyszałam o armii sowieckiej, odpoczywającej na prawym brzegu Wisły i obserwującej spokojnie, jak płonie Warszawa. Dziecinnie wyobrażałam sobie rosyjskich żołnierzy, kąpiących się i opalających na wiślanej plaży. Dużo później dowiedziałam się o toczących się w tym czasie walkach pod Studziankami i Magnuszewem oraz o zdobyciu Pragi dopiero 15 września. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, natomiast nadśluchiwałam rozmów dorosłych o zbliżających się bolszewikach. Znów pracowała moja wyobraźnia – bolszewików wyobrażałam sobie jak zbójców z „Powrotu taty”: ...brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa...

W październiku zaczęli docierać warszawiacy, którzy po gehennie powstania oraz obozu pruszkowskiego rozproszyli się po kraju i szukali schronienia. Ciotka robiła, co możliwe i niemożliwe, aby im pomóc. Nawet nowoczesny kurnik o dużych oknach, ogrzewany i z drewnianą podłogą zamieniony był na schronisko, gdzie na różnych prowizorycznych posłaniach byli lokowani ludzie. Ułożyłam wtedy wierszyk: „kukuryku, kukuryku pan Twardowski śpi w kurniku” – dziś już nie wiem, czy rzeczywiście był jakiś pan Twardowski.

Przybywających było coraz więcej. Wszystkich trzeba było przyodziać, nakarmić, zapewnić warunki higieniczne i dach nad głową. Niektórzy spośród tych ludzi otrzymywali jakąś pracę w majątku, w gospodarstwie domowym. Wiele osób było ciężko rannych i chorych.

O naszych najbliższych wieści nie było. Z przerażeniem słuchaliśmy opowiadań o walkach, zagładzie ludzi i miast. Pamiętam piękną dziewczynę o wspaniałych – złotych warkoczach, która straciła nogę, a rana po amputacji jeszcze nie była zagojona. Była chyba łączniczką. Tak spokojnie, bez energii opowiadała rzeczy straszne.

Poznałam wtedy wnuki słynnego prof. Żabińskiego: Irkę i Jurka Petrykowskich. Przyjechali z babcią, ich rodzice nie żyli. Nie wiem, co stało się z ojcem. Matka zginęła bohatersko, jako lekarka, broniąc powstańczego szpitala. Pamiętam spokój tych dwojga, nieco starszych ode mnie, oraz ich cudownej babci. Wtedy nawet zaprzyjaźniliśmy się, ale późniejsze losy rozdzieliły nas.

W listopadzie przyszła wieść od cioci Leny – wraz z mężem i córką Teresą znalazła się nad Renem w zakładach zbrojeniowych Kruppa. Byli tam niewolniczymi robotnikami. Nie mogłam sobie w tej roli wyobrazić delikatnych, subtelnych wujostwa, a tym bardziej niewiele ode mnie starszej Tereni. Cieszyli się, że żyją i są razem. Jeszcze nie wiedzieli, co dzieje się z ich synem – Grzesiem i z babcią. Wkrótce przyszła wiadomość i od Grzesia – list ze stalagu, gdzie znalazł się jako żołnierz powstańczy. Pamiętam, jak ciotka zarządziła wtedy wielkie pieczenie. Jakieś bułki słodkie na suchary i coś jeszcze, a Niusi i mnie powierzono pod nadzorem pani Oleńki robienie pierniczków. Wszystko to było przeznaczone do paczek dla jeńców. Mieli oni prawo wysłać do rodzin blankiety na paczki, które nie mogły przekroczyć określonej wagi. Ciotka wysyłała bardzo wiele takich paczek różnym krewnym i całkiem obcym ludziom. Między innymi i mojemu ojcu. Te przygotowania do paczek zapamiętałam szczególnie, bo w nich uczestniczyłam. Prócz sucharów i pierniczków wysyłany był smalec topiony z cebulą i jabłkiem oraz sama cebula jako źródło witamin.

Chyba w grudniu 1944, na pewno przed Bożym Narodzeniem, Niemcy zajęli dwór na kwatery dla oficerów i jakiś sztab, a na wsi ulokowali żołnierzy. Ciotka wraz z liczną rodziną i bardzo już chorym mężem musiała zamieszkać w oficynie. Już zupełnie nie pamiętam, jak się to wszystko pomieściło. W każdym razie my musiałyśmy wyprowadzić się z naszego pokoiku. Panią Stempowską z Jacusiem zabrał jej syn Hubert, któremu udało się dostać jakąś pracę i lokum w jednym z sąsiednich majątków. My zamieszkałyśmy w ogromnej sali, w której latem sypiali bandosi.

Trudno to nazwać mieszkaniem. W tej sali w dwóch rzędach stały łóżka głowami do ściany, a nogami do wąziutkiego przejścia przez środek. Znajdowało się tam dwadzieścia, a może więcej osób, w tym kilkoro dzieci. W jednym kącie była kuchnia, na której gotowano i grzano wodę do mycia, a w drugim, obok, miejsce zastępujące łazienkę, odgrodzone od całości parawanem. Prócz nas byli tam warszawiacy. Ciekawe, że w tym licznym towarzystwie nie przypominam sobie żadnych sprzeczek. Każdy miał tyle miejsca, co na swoim łóżku. Ustalony był regulamin korzystania z „łazienki”, aby wszyscy zdążyli się umyć. Wieczory były długie, więc robiłyśmy ozdoby na choinkę, a kiedy dzieci poszły spać, dorośli czytali głośno, na zmianę, „Przeminęło z wiatrem”. Wtedy pierwszy raz poznałam niepokonaną, niezłomną Scarlett, bo przecież słuchałam, póki nie usnęłam.

W tym czasie dużo chorowałam. Jeszcze wcześniej latem przeszłam malarię, po której zostało mi porażenie śledziony i związane z tym częste ataki, poza tym robiły mi się różne wrzody. Jedna z warszawianek była lekarką i przecięła mi wyjątkowo uporeczywy ropień – mam na pamiątkę bliznę do dziś.

Utkwiło mi w pamięci to ostatnie wojenne Boże Narodzenie. Święta 1943 obchodziliśmy w prymusowskim dworze – wspaniała wigilia przy olbrzymim stole, piękna choinka i pani dziedziczka osobiście przebrana za Mikołaja w brunatnej, podróżnej burce.

W 1944 dwór był zajęty przez Niemców. Wigilia była tylko z najbliższą rodziną w maleńkim pokoju w oficynie. Z potraw wigilijnych najbardziej zapamiętałam bitą śmietanę z makiem, bo później po niej dostałam boli śledziony. Jednakże najważniejsza była choinka – mała, wciśnięta w jakiś kąt, cała ubrana tylko w narodowe barwy: biało-czerwone łańcuchy, bibułkowe kule i różne gwiazdeczki z glansowanego papieru, wszystko w tych kolorach.

Po raz pierwszy w życiu zetknęliśmy się z uroczystym obchodem sylwestra. Z wcześniejszego dzieciństwa nie przypominam sobie nawet, aby o tym rozmawiano w domu. Panie z naszego wielkiego pokoju postanowiły przygotować kolację sylwestrową i bardzo były tym przejęte. Pamiętam nawet, że przygotowały makaron, pieczeń w sosie i czerwoną kapustę. Może było coś jeszcze, ale ja, nie wiem czemu, to zapamiętałam. Oczywiście dzieci nie miały uczestniczyć w tej uroczystości, z uwagi na późną porę. Spotkanie nie mogło też odbyć się w naszym pokoju ze względu na dzieci. Było obok w obszernej, ale chyba zimnej sali. Mama poszła tam na krótko i wróciła do nas niespotykane ożywiona.

Kiedy już usnęłam, zbudziły mnie strzały i dziwne błyski za domem – to oficerowie niemieccy, kwatrujący we dworze, witali rok swej ostatecznej klęski. Dość długo zabawiali się strzelaniem i puszczeniem rakiet oświetlających.

Mój stan zdrowia pogarszał się, byłam dziwnie słaba. Ciotka zdecydowała, że trzeba oddać mnie do szpitala. Za Pilicą koło Sulejowa, we Włodzimierzu (chyba taka nazwa) znajdował się ewakuowany, po powstaniu, z Warszawy szpital dziecięcy im. Karola i Marii, niegdyś słynny ze skutecznego leczenia dzieci. Postanowiono, że tam pojedę – około 30 kilometrów od Prymusowej Woli. Dość daleko na ówczesne warunki podróżowania. Pani dziedziczka przeznaczyła na tę podróż swoją karetkę, abym nie zmarła. Wewnątrz, dla ogrzewania, ustawiony był jakiś saganek z żarzącymi się węglami. Wyjechałyśmy z mamą na drugi dzień po Trzech Królach – wczesnym ranem, jeszcze o zmroku, aby mama zdążyła wrócić tego samego dnia. Ta niezwykła podróż karetką (nigdy więcej nie jeździłam w ten sposób) fascynowała mnie, ale jednocześnie byłam rozżalona, że zostanę w szpitalu, z dala od rodziny. Właściwie było to moje pierwsze w życiu rozstanie z matką i siostrami. Do braku ojca już przywykłam.

Szpital znajdował się w dość dużym budynku, chyba jakiegoś przedwojennego pensjonatu, bo była to miejscowość letniskowa, pięknie położona w lasach. Dziwne, że nie pamiętam żadnych lekarzy, jedynie siostry zakonne w olbrzymich, charakterystycznych nakryciach głowy. Zastanawiałam się, czy im wygodnie w tym pracować. Było dużo dzieci, przeważnie z Warszawy i większość z nich już wyzdrowiała, ale nieznanne było miejsce pobytu ich rodziców, opiekunów oraz nie wiadomo, czy w ogóle przeżyli powstańczy kataklizm. Było też kilkanaście osób dorosłych wywiezionych z Warszawy konspiracyjnie. Między innymi młody, ranny powstaniec, który zmarł zaraz pierwszej nocy mego pobytu – na sąsiednim łóżku. Jak wspomniałam, widziałam już wielu zabitych, ale po raz pierwszy umierał ktoś tuż obok. Siostry szybko otoczyły to łóżko parawanem i niepostrzeżenie wyniosły zwłoki, ale ciężkie wrażenie pozostało. Żył, coś wołał, zrywał się i już go nie ma. Trudno było to pojąć 11-letniemu dziecku nawet w czasie wojny, kiedy śmierć jest czymś codziennym.

Jedzenie w szpitalu było marne. Najbardziej zapamiętałam „zupę płuć” – była to owsianka na wodzie lekko okraszona mlekiem, a w niej pełno łusek z owsa, które trzeba było wypłuć – stąd nazwa nadana przez dzieci. W niedzielę na deser było zawsze jakieś dziwne ciasto, trochę podobne smakiem do piernika, polewane gęstym syropem. Siostra przełożona wyjaśniła nam, że to dar Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Dziwna rzecz, że nie pamiętam żadnych zabiegów medycznych, które z pewnością były.

W kilka dni po moim przybyciu do szpitala rozpoczęła się ofensywa styczniowa. Nadsluchiwalismy dudnienia frontu, które stawało się z godziny na godzinę bliższe. Wkrótce już słychać było poszczególne detonacje, a nocą na niebie przebiegały roje świecących pocisków, krzyżowały się światła reflektorów przeciwlotniczych. Był to przedziwny, fascynujący teatr. Siostry nie pozwoliły nam podchodzić do okien, ale dziecięca ciekawość była silniejsza. Jednakże w miarę zbliżania się frontu i nasilenia kanonady ogarnia! nas strach, zwłaszcza dzieci, które przeżyły powstanie, kryły się pod kołderkami lub wchodziły pod łóżko. Zaczęłam wtedy opowiadać dzieciom różne baśnie, wymyślone na poczekaniu. Przychodzili nawet słuchacze z sąsiednich sal i siostry. Z tej okazji nadano mi przydomek „Bajka”.

Co wieczór odbywała się na korytarzu modlitwa przed dużą figurą Matki Boskiej, a w okresie nasilenia walk trwała prawie cały dzień. Odmawiano litanie, antyfonę i różne modlitwy.

W naszej sali była jakaś osoba dorosła, z Warszawy, chyba bardzo chora, bo nie pamiętam, żeby wstawała. Siostra przełożona przychodziła do niej na pogawędkę. Któregoś wieczora opowiedziała, że przywieziono rannych niemieckich żołnierzy i obawiała się, co stanie się ze szpitalem, gdy bolszewicy

zastaną ich tutaj. W modlitwie głośno prosiła Boga o łagodną śmierć dla rannych. Na drugi dzień z rana przyszła rozpromieniona, oznajmiając, że wszyscy (nie wiem, ilu ich było) zmarli tej nocy, że to Bóg wysłuchał modlitwy. Zapamiętałam to, bo było dla mnie niesamowite – ta jej radość oraz intencja boska. Oczywiście też wierzyłam w skuteczność modlitwy.

Wreszcie przyszedł ranek, który zbudził mnie dziwną ciszą. Przywykłam do ciągłych odgłosów walk i ta zupełna cisza była niepokojąca. Boso podeszłam do okna. Wstał blady styczniowy świt. Z lasu wyszli ludzie i szli w kierunku szpitala. Gdy się zbliżyli, zobaczyłam mundury, czapki „uszanki”, jakich wcześniej nie widziałam. Szli po dwóch i nieśli rannych na noszach. Z lasu wychodzili coraz to następni. Domyśliłam się, że to bolszewicy – nie znałam wtedy określenia „żołnierze radzieccy”. We wschodzącym słońcu wyglądali całkiem łagodnie, gdy tak brnęli po śniegu niosąc swych rannych kolegów. Niczym nie przypominali zbójców w „sukniach plugawych” i z „dzikim wzrokiem”.

Do naszej dorosłej pani przyszła jakaś znajoma z miasteczka i znów dziwna, niezrozumiała dla mnie rozmowa. Pani pytała młodą, dość elegancką dziewczynę – „Jak tu przyszłaś? W mieście są bolszewicy. Nie zaczepiali cię?”. Przybyła śmiała się, że to przecież normalni ludzie, któryś ją pytał o drogę, ale nie robią nic złego. Ja i tak nadal się bałam.

Teraz czekałam na matkę, ale nie przybyła. Kiedy o niej wspominałam, siostra przełożona głaskała mnie i przytulała wyjątkowo czule. Wreszcie usłyszałam na korytarzu znajomy głos i w drzwiach stanęła mama zarumieniona od marszu. Wtedy wyjaśniła się czułość przełożonej – do szpitala dotarła wieść, że Niemcy spalili Prymusową Wolę, a mieszkańców popędzili przed sobą, dla ochrony przed rosyjskimi czołgami. Przełożona uważała, że przybyła jej jeszcze jedna sierotka. Na szczęście nic takiego się nie stało, ale podobno były takie plany, które znaleziono w biurkach niemieckich władz w Opocznie – nie zdążono ich zrealizować. Ofensywa była niespodziewanie błyskawiczna i możliwe, że uratowała mnie przed sieroctwem.

Mama przyjechała saniami i zabrała mnie do Prymusowej Woli. Ze zdumieniem patrzyłam na żołnierzy, których pełno było wokół. Pozdrawiali nas wesoło. Jeden, jak dzieciak, uczeplił się z tyłu sań i pojechał z nami kawałek. Żaden nie przypominał zbójcy z mojej wyobraźni i nie wywoływali we mnie takiego lęku, jak żołnierze niemieccy w 1939.

Pilicę przejechaliśmy po lodzie, bo most był wysadzony przez uciekających Niemców. Wjechaliśmy za Sulejowem w lasy. Już zmierzchało, ale jeszcze było widać ślady walk. Wiele sprzętu, którego nie umiałam nazwać, porzuconej broni. Potworne ciała końskie nabrzmiałe od mrozu i zwłoki niemieckich żołnierzy. Ta ponowna podróż wśród trupów nie poruszyła mnie tak bardzo, jak tamta z września 39. Chyba nie dlatego, że po raz drugi, a raczej dlatego, że to byli Niemcy. Byli zamarnięci i przyprószeni śniegiem i to też łagodziło wrażenie. W coraz gęściejszym mroku zobaczyliśmy stojących w poprzek szosy żołnierzy wspartych na karabinach. Konie zjeżyły się, nie chciały iść dalej, a ludzie nie ruszali się. Kiedy stangret zmusił konie do zbliżenia się do przeszkody, okazało się, że są to ustawione zamarnięte zwłoki niemieckie. Ktoś zrobił makabryczny żart. Nie pamiętam momentu powrotu do domu, został przyćmiony przez inne wspomnienia.

Już niedługo byliśmy w Prymusowej Woli. Ciotka musiała opuścić ją wcześniej w związku z reformą rolną i parcelacją. Wyjechała z wnukami i synem do Piotrkowa, gdzie od kilku lat mieli kupione mieszkanie. Mąż jej był już bardzo stary i pozwolono mu zostać dożywotnio pod opieką szwagierki – tej siostry dziedziczki grającej na fortepianie.

Mama czekała wieści od ojca, ale żadnej nie było. Za to przyszła smutna wiadomość o śmierci mamusi matki – tej babci, co była z nami wysiedlona. Po powstaniu warszawskim została wywieziona przez Niemców do schroniska dla starców w Łowiczu. Stamtąd przyszła wiadomość, że już odeszła. Była wtedy młodsza niż ja dziś. Przez całą wojnę nie widziałam u mojej mamy ani jednej łzy, a po otrzymaniu tej wiadomości coś w niej pękło – przez ponad dobę leżała na łóżku, płacząc i, zupełnie nie interesując się nami, co było dla nas całkiem niesamowite.

Za ostatnie posiadane pieniądze mama wynajęła ciężarowy samochód, do spółki z tą panią, która przybyła z Wołynia z trojgiem dzieci. Pojechaliśmy do Komorowa, a ta druga rodzina do kogoś w Warszawie.

Wojna jeszcze trwała, ale u nas już nie było Niemców, już czuliśmy wolność. Wreszcie zapomniałam o strachu. Czekaliśmy na ojca. Niestety on nie uznał tego wyzwolenia za pełne i nigdy nie wrócił. Podobno bał się bolszewików. Ze ściśniętym sercem patrzyłam na tych, którzy wracali. Matka podtrzymywała w nas wiarę, że ojciec nie mógł wrócić i nigdy nie pozwoliła powiedzieć o nim nic złego. We mnie był wielki żal i przyrzekłam sobie nigdy nie założyć rodziny, aby moim dzieciom wojna nie zabrała ojca.

Później uwierzyłam w siłę naszych sojuszków, które nie dopuszczają do wojny oraz w słuszność pracy dla odbudowy i rozwoju naszego kraju. Mam rodzinę, dzieci i wnuki. Nigdy nie kupiłam dziecku żadnej militarnej zabawki. Kiedy najmłodszy wnuk upominał się o czołg, wskazywałam mu większą przydatność z klocków.

To wszystko, co tu opisałam, było bardzo dawno, ale prawda, nie baśń o złych rycerzach i potwornym smoku. Straszliwa, tragiczna prawda, która zniszczyła życie wielu rodzin. Wiem, że tysiące dzieci przeżyły większe tragedie. Ja i moje siostry, dzięki pomocy rodziny, miałyśmy szczęście uniknięcia głodu, śmierci najbliższych. Ominęły nas okropności powstania warszawskiego i obozów koncentracyjnych. Wśród ponurych dni okupacyjnych można by wymienić wiele radosnych chwil. Utraciłyśmy tylko nasz dom, promienne dzieciństwo i ojca. Tylko...